

WYDAWNICTWA ROK PIĄTY.



ŚWIĘTY FRANCISZEK Z ASSYZU.

Obchodzi w tym roku świat cały a Polskę z nim 700-letnią rocznicę działalności człowieka, który ani godności żadnej nie piastował, ani dzieł żadnych nie napisał, ani zwycięstw żadnych nie oddniósł, a jednej tylko wielkiej rzeczy dokonał, którą sam uważał za najtrudniejszą dla człowieka i najdonioślejszą w skutkach: zwycięstwa nad samym sobą.

Człowiekiem tym był Franciszek Bernardone, syn kupca bławatnego z małego miasteczka włoskiego, urodzony w roku 1182, zgasły w r. 1226. Życie jego było tak oddane dopełnianiu chrześcijańskiego ideału, jak tego u nikogo przed nim i u nikogo po nim wśród ludzi nie spotykamy. Pod koniec jego niedługiego zresztą żywota świat cały garnał się do jego stóp, królowie przychodzili do jego celi, papieże szukali u niego, choć nie miał on święceń kapłańskich, pociechy i porady. Posiadał on w swoim sercu tajemnicę budzenia w ludziach *radości dobra*, ponieważ sam tą radością niesiony był cały przez życie jakby na skrzydłach; a skrzydła te stawały się u niego z biegiem życia coraz potężniejsze i wspanialsze.

Ten wielki talent jego serca, jakim obdarzył współczesnych sobie ludzi, zjawiał się bardzo na czasie, był to bowiem czas głębokiego upadku Włoch i nieustającego a wrogiego wrzenia i jakby walki jednych przeciwko drugim. Walczył cesarz niemiecki z papieżem, i do tej walki używał najemnych łuczników mahometańskich; walczyły miasta przeciw zamkom, w których siedzieli najczęściej niemieccy rycerze, uciskający te miasta; walczyła w miastach samych uboższa ludność z bogatszą, co powodowało ciągle krwawe rozrachunki i wygnania; walczyły poszczególne większe miasta między sobą, pchane do walki uczuciem zazdrości; ścierały się wreszcie i to w najkrwawszy sposób, różne sekty religijne, wywołując ponadto ciągle wrzenie i niepokój w umysłach. A że Włochy szły wówczas na czele całej Europy, przeto to samo rozprężenie groziło całemu światu.

Trzeba było szukać ratunku. Trzeba było pokazać światu, że nienawiść nie prowadzi do niczego dobrego. Trzeba było ludziom przypomnieć, że głębsze i ważniejsze są te rzeczy w duszy człowieka, które ludzi łączą, niż te, które ich dzielą — i że tylko one dają radość. Tak jest, przypomnieć tylko to, co już im zostało powiedziane w Ewangelji i pokazane naocznie w życiu Chrystusowi.

Młody Franciszek Bernardone długo myślał w młodości swojej nad tą całą sprawą, i długo walczył z samym sobą, zanim się tej sprawie oddał całkowicie, tej sprawie uzdrowienia ludzkiej duszy. Był młody, z zamożnej rodziny, bardzo skłonny do wesołego życia wśród „złotej młodzieży“ włoskiej swego czasu, bardzo wybredny w stroju, żądny przytem sławy ludzkiej i przewodzenia innym. Nie łatwo mu też przychodziło zostać z człowieka światowego człowiekiem bożym. Lecz głębokie współczucie dla cierpienia ludzkiego było jego nauczycielem i pouczało go ciągle, w czym leżą tego cierpienia przyczyny, i w jaki sposób, na jakiej drodze można siebie i innych uwolnić od tych cierpień.

Sam na sobie wypróbował młody Bernardone, że droga do szczęścia otwiera się przed człowiekiem wtedy, gdy nauczy się on panować nad namiętnościami swego ciała i nad namiętnościami swej duszy. Jedne bowiem i drugie czynią człowieka stopniowo swoim niewolnikiem, każą mu się zajmować zanadto sobą, nie pozwalają zajmować się innymi ludźmi, a nawet prowadzą go do ukrzywdzania innych. A Bóg do dzieła swego potrzebuje ludzi wolnych, to jest panujących nad sobą, a nie niewolników.

Całe też życie tego człowieka było zgłębianiem tej mądrości,

jak po drodze owej postępować. Nie zachęcał on też nigdy do niepotrzebnych umartwień, z których nikomu nic, a tylko zachęcał do zdobycia tej wolności w potrzebach i tej swobody wobec próżnych sądów świata, które pozwalają nam mieć jak najmniej trosk własnych a jak najwięcej trosk cudzych. Natomiast uczył się sam z niezmiernym trudem panowania nad sobą — i tę działalność cenił najwyżej.

Trudno tu, i wprost niepodobna, na tak szczupłym miejscu streszczać żywot tego człowieka, którego świat cały chrześcijański obdarzył imieniem świętego. Każdy jednak Polak, i jako chrześcijanin i jako Europejczyk, poznać powinien dokładnie żywot świętego Franciszka z Assyżu; czas ani narodowość nie stanowią żadnej przeszkody, żadnego rozdziału między nim a nami. Toteż dzwony całego świata chrześcijańskiego i niechrześcijańskiego również powinny się rozdzwonić w te dni rocznicy 700-letniej na jego cześć.

Pewnego razu, święty Franciszek, odezwał się w ten sposób do młodego swego towarzysza: — Bracie Leonie, gdybyśmy byli nawet najlepszymi na świecie wzorami świętości, słuchaj i pomnij co mówię, nie na tem polega radość doskonała. I gdybyśmy mieli nawet władzę uzdrawiania ślepych, sparaliżowanych i opętanych, wskrzeszania umarłych na czwarty dzień; i gdybyśmy mówili wszystkimi językami, mieli zdolność zgadywania rzeczy przyszłych i znali tajemnice serc ludzkich; i gdybyśmy odkryli bieg gwiazd i własności roślin, ptaków, ryb, zwierząt i ludzi, i wszystkie właściwości skał i wód, zapamiętaj to dobrze, bracie Leonie, nie na tem zgoła polega radość zupełna. Ponad wszystkimi darami Ducha Świętego, które Bóg udziela swym umiłowanym, większą od nich radość daje nam zwycięstwo nad samym sobą, daje dobrowolne zniesienie dla miłości Chrystusa wszelkiego cierpienia, krzywdy, niesprawiedliwości losu. Bowiem ze wszystkich innych darów Boga nie mamy przecież prawa się chlubić, pochodzą one nie od nas a od Boga. Ale nasze dobrze przebyte próby, nasze cierpienia i krzyże poniesione dają nam do tego pełne prawo.

W ten sposób pouczał ten człowiek, pełen świętości i mądrości, że cała nasza wartość i zasługa osobista leży w charakterze chrześcijańskim, w naszej ciągłej pracy nad wyrobieniem w sobie dobrej woli.

ARTUR GÓRSKI.

Napiszcie nam, Czytelnicy, czy pracujecie nad wyrobieniem w sobie dobrej i silnej woli i w jaki sposób to robicie.

W J E S I E N I.

Góry mgłą się okryły,
Zmokły strzechy wieśniacze,
Drzewa listki zwiesiły,
Białe niebo dziś płacze,
Sięje deszczem łez.

Płacze niebo jesienne
Łzą cichutką i rzewną:
Gdzieżeś, słońce promienne,
Gdzieżeś wiosno — królewno,
Gdzie są róże, bez?

Ach przekwitły już kwiaty,
Smutna jesień nadchodzi,
Uciekł bocian skrzydlaty
Tam, gdzie wicher nie chłodzi,
Śnieżnych niema burz.

Dziś już ptaszek nie śpiewa,
Motyl w słońcu nie błyska,
Zżółkły trawy i drzewa,
Puste ciągną się rżyska
Stokiem smutnych wzgórz.

JERZY ŻULAWSKI

CHŁEB UBOGICH.

Chlebem ubogich nazywano ongi kartofle (ziemniaki), które są podstawowym pokarmem zarówno ludzi jak i inwentarza. Gdy kartofle nie urodzą się, wówczas „rok będzie ciężki“ powiadają ludzie. A jednak kartofle dopiero od czterystu lat są znane w Europie. Oto w początku XVI stulecia przywieziono do Włoch pierwsze kartofle, które początkowo hodowano jedynie na pokarm dla wieprzów. Wkrótce jednak rolnicy, pojawiający korzyści przy odżywianiu trzody, zaczęli uprawiać ziemniaki na wielką skalę, a pa-

pież Inocenty VIII zalecił, aby wszelkie nieużytki przeznaczono pod uprawę ziemniaków. Z Włoch i Hiszpanji powędrowały one do Holandji i Anglji, a stąd do Francji i Belgji. Aliści nie myślano o tem, by kartofle mogły służyć za pokarm dla ludzi, gdyż rozpowszechnił się przesąd, że są one rozsadnikiem trądu. Powyższy przesąd został dopiero przełamany przez wielki głód, jaki dotknął z powodu nieurodaju Europę w 1772 r. i wówczas sprawdziło się starodawne przysłowie, że potrzeba jest matką wszelkich wynalazków. Do tego czasu nędzarze smagani głodem spożywali jeno potajemnie kartofle, nie chcąc się narażać na pośmiewisko i pogardę. Kiedy jednakże głód dotknął Europę, wówczas akademja w Besancon przeznaczyła nagrodę za wskazanie płodów, któreby skutecznie mogły zabezpieczać ludzkość od straszliwych klęsk głodowych. I oto zjawił się jeden z filozofów, nazwiskiem Parmentier, który wskazał, iż źródłem zbawienia ludzkości od głodu może stać się uprawa ziemniaków.

Rozprawa uczonego poruszyła wszystkie umysły wielkich ludzi we Francji, którzy winszowali odkrywcy zbawienia ojczyzny, a skromny wynalazca wkrótce ofiarowuje królowi francuskiemu w dzień jego imienin bukiet kwiatów... kartoflanych, który z rozkazu monarchy przyozdobił jego jadalnię. Na balu w pałacu wersalskim suknie wszystkich pań z najwyższej arystokracji oraz fraki panów zdobią skromne kwiaty kartoflane, by w ten sposób zachęcić ogół mieszkańców do hodowania ziemniaków. Trzeba było aż takiej propagandy na rzecz kartofli, aby ludzi przekonać o ich użyteczności.

Od tego czasu ziemniaki rozszerzyły się po całej Europie, a do nas przywędrowały najprawdopodobniej z Niemiec, gdyż lud np. do niedawna pogardliwie określał Niemców mianem „kartoflarzy“. Dziś ziemniaki stają się cudownem pożywieniem zarówno bogaczy jak i biednych i wprost nie chce się wierzyć, że ludzkość była tak długo naiwną i nie umiała korzystać z tak cennych skarbów odżywiania się zdrowo i tanio.

A. DŁUGOSZ.

Przedruk z pisma „Nasza Drużyna“.



ZE SZKOŁY.

Do szkoły to się chodziło różnie, jak tam którego dobra myśl napadła, albo i czasu stało; ale ze szkoły każdy chodził według postanowionego trybu i tylko ostatnie już niedołęgi własnego chodu nie miały. Nazywaliśmy ich miętusami, że niby to, ni owo. Jak już który raz wypróbował co mu najlepiej pasuje, to się tego cały kwartał trzymał; a za naśladowanie, czy podrywanie, srogie bywały bitki. Szosą waliło się, albo środkiem, albo też nad stojącymi z rzadka kupami kamieni. Liżusy chodziły po za kupkami, nad samym rowem, w którym też, znienacka w kark wzięwszy, gęsto padali.

Zuchy, do których i ja się liczyłem, chodziły zazwyczaj samym wierzchem kupek, przelatując pędem od jednej do drugiej. To był honorowy sposób chodzenia i tylko drugoroczni przywilej na niego mieli. Frajerzy, pierwszoroczniaki, trzymały się środka, stąpając drobno, oglądając się dokoła, nawet dając się prowadzić dziewczynom za rękę. Ale to już była sama bryndza, z niższego oddziału, a prowadzenie takie uważane było za tchórzliwość i godne ostatniej wzgardy niedołęstwo. Nikt tak nie psuł między chłopakami ducha, jak dziewczyny, co młodszych braci do szkoły wodziły. Pchnie kto w kark takiego gagatka, po ludzku chce się z nim zadać, a ten do dziewczyny:

— Mańka! On się bijel

A Mańka zaraz do oręża staje, zaraz zbiegowisko robi, zaraz sprawa, zaraz wymysły od łobuzów, od andrusów, albo jeszcze gorzej. Tośmy tych przyszytych do dziewczynskich spódnic tak unikali, jak ognia.

Chyba, że u nas który do samej dziewczyny co miał, wtedy najlepiej było takiego „przyszytego“ szturchnąć a dobrze. Za sobą tak ci się nie ujęła żadna, jak za nim. Zaraz jak kokosz: gda... gda!... gda... gda... gda!... a my w śmiech.

M. KONOPNICKA.

A wy, Dzieci, jak chodzicie do szkoły i ze szkoły? Opiszcie nam.



JENIEC.

OBRAZEK SCENICZNY.

napisała DOMOSŁAWA.

(Ciąg dalszy).

ZYGMENT (*do Antka*)

Ten malec strasznie śmieszna ma minę!

FRANUSZEK (*dosłyszawszy*)

Druhy—jam mniejszy wzrostem i wiekiem,
ale się kiedyś od was nauczę
być dzielnym skautem, prawym człowiekiem.
Ja chciałbym...

ZYGMENT (*j. w.*)

Przebóg, zabawne kruczę!

FRANUSZEK (*do Stacha*)

Lecz czy wydołam?...

STACH (*przyjacielsko*)

O, wyśmienicie!

Dobryś, malutki. Więc pomóż żywo!

Imbryk gotowy, zasyp herbaty,

chleb wyjmij, jaja...

*Franuszek się krząta*ZBYSZEK (*woła*)

Idę! widzicie?!

Wchodzą trzej skanci

PRZYBYLI

Czołem.

FRANUSZEK (*zajęty*)

Czo...

SKAUCI

Czołem.

ZYGMENT

Z czym przybywacie?

JERZY

Plany wycieczki mamy.

STACH

Wieczera,

również gotowa!

WŁADEK

Pięknie! Do dzieła!

ZBYSZEK

Jednego zda się nie ma żołnierza.

STACH

Dwu.

ZYGMUNT (*kwaśno*)

I poezja również zginęła.

JERZY (*obojętnie*)

Nie bój się, wróć.

IGNAŚ (*naśladując Zygmunta*)

Wielkie pytanie!

WŁADEK (*do Zygmunta*)

Tys znowu kwaśny? Jakież przyczyny?

ZYGMUNT

Ciekawość, pierwszy stopień—mój panie!

Cię i Ludwik.

LUDWIK

Czołem! przynoszę pewne nowiny!

JERZY

Słucham.

LUDWIK

W tym lesie myśmy nie sami,
gęsty ślad idzie od ludzkiej stopy...

(*Harczerze zbliżają się z zacięciem.*)

Szedłem dość długo tak zarośłami,
aż na ogniska trafiłem tropy.

Obóz roboczy, żołnierski może,
uczta nie była, wnoszę, obfita:
brak resztek mięsnych...

(*macha ręką.*)

Na korze,

Za to karteczka jakaś przybita.

ANTEK (*z zajęciem*)

A na niej?

LUDWIK

Ciche i smutne słowa,

Które gdym czytał...

C. d. n.

RODZINA.

P o w i e ś ć

przez HELENĘ STATTLERÓWNE.

(Ciąg dalszy).

— Jeszcze się dziwi! Trzeba nie mieć w głowie ani odrobiny oleju, aby wpędzać psa na most.

— Ja go nie wpędziłem. On sam „poleciał”—próbował usprawiedliwiać się Lutek, trąc wilgotne już oczy brudnymi od piasku piąstkami.

— Nie widziałeś, głupi, gdzie rzucasz kamień?

— Poczekaj! Będiesz ty widział scyzoryk! Ani na minutę ci go nie damy!

Tu już Lutek nie mógł powstrzymać łez rzęsistych. Rozpłakał się gwałtownie, a łzy jak groch leciały mu wzdłuż policzków.

— Becz sobie, becz,—brzydki chłopaku.

— Niedość, że most zburzył,—jeszcze się mąż!

Trzęsąc się z gniewu, stało starsze rodzeństwo nad zabeczanym malcem, którego Walek pocieszał, jak umiał.

— Cichaj, co ci tam—mówił mu z flegmatycznym spokojem. Na, mas kamień — i wciskał mu w ręce najładniejszy ze znalezionych kamyków. Ale Lutek był niepocieszony. Tak się cieszył owym dalekiem posiadaniem scyzoryka! I jeden nieuważnie ciśnięty kamyk zepsuł wszystko!

Tymczasem Jasiek i Antośka stali na uboczu, w milczeniu spoglądając na resztę gromadki. Im też żal było mostu: taki był ładny i tyle już pracy kosztował, — lecz i Lutka żal było także; tak nieszczęśliwie biedak wyglądał: uśmiechnięta przed chwilą buzia drgała od gwałtownego płaczu, a wciśnięte w oczy piąstki mokre były już całe od łez ocieranych. To też, gdy Wacek i Jan-ka, zostawiwszy go w końcu w spokoju, nadąsani odeszli i usiedli nad brzegiem strumienia, Antosia cichutko zbliżyła się do nich i przysiadła w trawie, szepnęła:

— Nie trza go już martwić. Przecie on je maluśki.

Jasiek zaś, przykucnąwszy przy Lutku, pocieszał go słowami:

— Cichaj, cichaj, dadzą ci scyzoryk, nie bój się, dadzą! A ja cię tera poniosę na barana. Siadaj!

I wzięwszy malca na plecy, zaczął z nim brykać, udając konia i póty dokazywał, aż udało mu się rozbawić dzieciaka. Jeszcze łzy błyszczały mu w oczach, a już się śmiał, siedząc

na Jaskowym karku; od czasu do czasu tylko, przypominawszy sobie katastrofę, wzdychał żałośnie i krzywił usta w podkówkę.

Starsze rodzeństwo tymczasem, ochłoniwszy nieco z gniewu, przeżuwało różnorodne myśli. Żal za zepsutą zabawą nie pozwalał zapomnieć Lutkowi jego ciężkiego przewinienia, a jednocześnie sumienie szeptało im, że byli dla malca zbyt surowi i niesprawiedliwi. Słowa Antośki i postępek Jaska zawstydziły ich bardziej jeszcze.

Należało naprawić rzecz całą, ale jak! Już to nieraz przecie powiedziały sobie dzieci, że bezporównania łatwiej pokłócić się, niż pogodzić:

— Te wiejskie dzieci lepsze są od nas, — szepnęła pierwsza Janka Wackowi.

— Ba, ich most tak nie obchodził. Przecie żadne z nich nie było naczelnym inżynierem.

— Otóż to! Może nas zanadto obchodził. Boć ostatecznie można zawsze zbudować drugi.

— Zapewne. Nawet i ten dałby się może jeszcze naprawić. A Lutkowi możemy powiedzieć, że już się na niego nie gniewamy.

— Lutek, chodź, — powiemy ci coś.

Lutkowi znowu bródka zadrgała; pomalutku, krok za krokiem, zbliżył się do rodzeństwa, niepewny jeszcze, co usłyszy.

— Nie płacz. Most się naprawi. A my się już nie gniewamy.

— I scyzoryk mi dacie? — z wielką nieśmiałością zapytał winowajca.

— Damy. I słuchaj jeszcze. Kupimy ci na odpuszcie coś ładnego, jeszcze ładniejszego, niż scyzoryk. Bo cóż ci po nim? Siedzi zamknięty w szufladzie.

— Możesz go sobie swoim nazywać, ale oprócz tego dostaniesz jeszcze coś.

— Co, co takiego?

— Coś ładnego. Co sam sobie wybierzesz na odpuszcie. Żebyś miał. I już się nie martw, bo my się nie gniewamy.

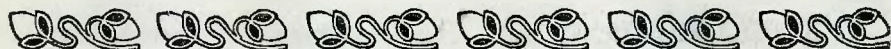
Lutek był oczarowany. Nigdy jeszcze nie spotkał się z taką łaskawością brata i siostry. Wcisnął się między siedzących i obejmując za szyję jedną ręką Wacka, a drugą Jankę, powiedział im poważnie:

— Kiedy tak, to was kocham. Bardzo was kocham. I wszystkie kamyczki, jakie tylko są na świecie, daruję wam do waszego mostu.

— No to dalej do roboty!

Aż dziwnem było, jak szybko i składnie szła robota. Gdy wieczorem wracano do domu, most nie tylko był już skończony, ale posiadał przesłoniczną poręcz z giętkich gałązek. Humory wszystkich trojga przy herbacie były znakomite i apetyty również.

C. d. n.



PRZEPISY HYGIENICZNE.

Wobec szerzących się coraz bardziej różnych chorób, podajemy naszym czytelnikom przepisy higieniczne:

1. Jeść tylko tyle, by być sytym.
2. Pić tylko wtedy, kiedy się pragnie.
3. Nie pić, ani nie jeść nic zbyt gorącego.
4. Jeść powoli, nie spieszyć się, żuć dobrze, nie połykać kawałków.
5. Pokarmy jadać mieszane—roślinne i zwierzęce, tłuszczów używać umiarkowanie.
6. Za napój pijać czystą wodę.
7. Picie wódki, piwa i wina jest zgubne: przysparza ono idjotów i nędzarzy.
8. Palenie tytoniu psuje trawienie.
9. Przy pełnym żołądku nie używać kąpieli.
10. Nieczystymi rękoma jedzenia nie dotykać.
11. Myć się często i starannie.
12. Ruchu używać umiarkowanie.
13. Kłaść się spać wcześniej i wcześniej wstawać.
14. Przebywać zawsze w czystem powietrzu.

Według „Strzechy rodzinnej”.

T O I O W O .

GAZETKI SZKOLNE. Różne szkoły wydają własne pisemka szkolne. Płomyk zwraca się z prośbą o nadsyłanie po jednym egzemplarzu tych pisemek do naszej redakcji. Wyciąg z kroniczek Waszych pism umieszczać będziemy w Płomyku, w ten sposób będziecie wiedzieli wszyscy, co się dzieje w różnych szkołach. Dotychczas tylko redakcja „Iskierki”, miesięcznika Pabjanickich szkół powszechnych, przysyła nam swoje egzemplarze, za co bardzo dziękujemy.

KONKURS. Z pisemka „Iskierka” dowiadujemy się o konkursie na ozdobienie klasy. Konkurs ten ogłosiła „Iskierka”, przeznaczając dwie nagrody dla klas, które będą najpiękniej ozdobione. Wyniki były bardzo ciekawe. Może i Wy ogłosilibyście w waszych szkołach podobne konkursy? Początek roku szkolnego, to właśnie czas na to, boć trzeba coprędzej pomyśleć o przyozdobieniu klas!

KONKURS PŁOMYKA. Płomyk przeznacza książki (za sumę 1000 marek) jako nagrodę dla tego, kto napisze najpiękniejszą baśń. Nadsyłać rękopisy podpisane godłem przed 1 grudnia. W osobnej zaklejonej kopercie wyjawiać godło.

DO PRENUMERATORÓW.

WSKUTEK POWIĘKSZENIA OBJĘTOŚCI „PŁOMYKA” A ZARAZEM WZROSTU CEN DRUKU I PAPIERU — PRENUMERATA „PŁOMYKA” OD 1-GO PAŹDZIERNIKA R. B. WYNOŚIĆ BĘDZIE 100 MAREK KWARTALNIE. NOWI PRENUMERATORZY, CHCĄCY OTRZYMAĆ „PŁOMYK” OD 1-GO WRZEŚNIA, POWINNI WPLACIĆ DO KOŃCA ROKU BIEŻĄCEGO 120 MK., A CI, KTÓRZY CHCIELIBY MIEĆ CAŁY ROCZNIK „PŁOMYKA”, POCZĄWSZY OD 1-GO STYCZNIA 1921 R., POWINNI OPRÓCZ 120 MK., WNIEŚĆ JESZCZE 100 MK.

T R E Ś Ć: Św. Franciszek z Assyżu, przez *Artura Górskiego*. — W jesieni, przez *Żuławskiego*. — Chleb ubogich, przez *Długosza*. — Ze szkoły, przez *M. Konopnicką*. — Jeniec, przez *Domostawę*. — Rodzina, powieść przez *Helene Stattlerównę*. — Przepisy higieniczne. — To i owo.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

Rocznie . . . mk. 240.—		Kwartalnie . . mk. 60.—
Półrocznie . . „ 120.—		Miesięcznie . . „ 20.—

Cena pojedynczego numeru mk. 12.—

Adres redakcji i administracji: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 123.
 Administracja otwarta codziennie (prócz niedziel i świąt) od g. 6 do 7 wiecz.
 Prenumeratę przyjmuje oprócz administracji Stowarzyszenie Spółdzielcze „Nasz Sklep” Sienna 1 od g. 9 rano do g. 7-ej wiecz.

Wydawca: W imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa
 Szkół Powszechnych — JÓZEF WŁODARSKI.
 Redaktorka HELENA RADWANOWA.

TŁOČNIA WL. ŁAZARSKIEGO, W WARSZAWIE.

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA MŁODSZEJ DZIAŁTMY.

□□□□□□□□□□ DODATEK DO „PŁOMYKA”. □□□□□□□□□□

M Ł O C K A.

Łupu! cupu! cupu! łupu!

Dalej! do roboty!

Niech się sypią świeże ziarna,
Jakby deszczyk złoty!

Ojciec z synem wałą zwawo,
Że aż echo dzwoni.

Z ziarenek—chlebek, a podściółka
Ze słomy, dla koni!

Pot wystąpił im na czoło,

Cepy biją śmiało,

I nim zajdzie Boże słonko,
Skończą pracę całą.

Świątek dziecięcy, OR-OT.

B A M B U S.

LEGENDA CHIŃSKA.

Chińczycy nazywają siebie synami słońca, a swoje państwo—Państwem Niebieskiem. I powiadają, że bardzo, bardzo dawno temu sam Pan Bóg, chodził po ziemi chińskiej, aby się dowiedzieć, czego ludziom potrzeba. Rozpytywał więc Chińczyków czego pragną, ale że żądali takich rzeczy, które mogły zgubić ich dusze, więc Bóg tego spełnić nie mógł.

— Aż razu pewnego na zapytanie Pana Boga odpowiedzieli:

— Prosimy o pożyteczne drzewo.

— Otóż to rozumna prośba — powiedział Bóg, wrzu-

cił jakieś ziarno w ziemię i znikł. Chińczycy czuwali nad roślinką, przypatrywali się jej jak rosła — ale zdziwili się bardzo, gdy ujrzeni wątlą roślinkę z wąskimi, marnymi listkami. Był to rodzaj trzciny. Nie śmieli jednak narzekać, skoro taka była wola Stwórcy.

Roślina szybko rosła w górę, aż wyrosła tak wysoka jak topola, a była tak smukła i wiotka, że gięła się za każdym wiatru powiewem.

Chińczycy nazwali ją bambusem, przyglądali jej się codziennie, codziennie badali i zastanawiali nad tem, jaki z tej rośliny można mieć użytek. W końcu naznaczyli nagrodę dla tych, którzy wynajdą, co się da z niej zrobić użytecznego.

Zasiadł sąd, złożony z najpoważniejszych i najmądrzejszych ludzi, a przed sądem stawali jeden po drugim badacze bambusu i tak mówili:

— Przekonałem się, że z lekkiej, ale bardzo wytrzymałej łodygi bambusu można zbudować dom.

— Ja ogłaszam, że z jego wysuszonych liści można robić bardzo trwałe dachy.

Inny przedstawił cieniuchną tkaninę, którą nazwał papierem i zaostrzony rylec z łodygi bambusa, a także farbę z sady jego drzewa i ogłosił.

— Oto zrobiłem papier, atrament i przyrząd do pisania.

— A ja — rzekł inny, wchodząc w wielkim jak dach kapeluszu, — z liści zrobiłem kapelusz.

— Inny znów przyniósł ogromny parasol w jednej a wachlarz w drugiej ręce i rzekł.

— Oto z łodygi i liści można wyrabiać wachlarze i parasole, które będą nas chroniły od deszczu i upału słonecznego.

— Innny zajechał na wózku i ogłosił, że wóz ten zrobił z łodygi rośliny danej przez Boga.

— A ja z niej zrobiłem ten oto koszyk — rzekł inny.

— Ja zrobiłem skrzynkę.

— Ja matę, na której odtąd będę sypiał.

— Ja obicie na podłogę i na ściany.

Inny przyniósł koszyczek zgrabny i prześlicznej roboty dla cesarzowej Państwa Niebieskiego.

A oto znowu kilku ludzi wniosło na ramionach i głowie cały stos zgrabnych, dotąd w Chinach nie widzianych sprzętów, a ich przewodnik zawołał:

— Oto sprzęty, które wyrobiłem z łodygi bambusu.



Inny niósł koszyki i naczynia pełne owoców i kwiatów. Wszedł przygarbiony starzec oparty na lasce którą mu syn jego zrobił na podporę, a laska ta była też z owej rośliny. I tak bez końca szli ludzie, a każdy przynosił inny przedmiot wyrobiony z bambusu.

Niesiono instrumenty muzyczne, sprzęty kuchenne, kubki, fajki i nieskończoną ilość cacek, drobiazgów, że trudno było zliczyć te wszystkie przedmioty. A na końcu wniesiono półmiski z rozmaitemi potrawami, wyrobionemi z owoców i pędów młodej rośliny.

— Tak orzekli sędziowie—jest to roślina najpożyteczniejsza, jaką wydała nasza ziemia, prawdziwy to dar Boga, jest to roślina błogosławiona, dzięki za nią składamy Bogu, czcić ją będziemy w całym kraju i poświęcamy ją Bogu, od którego dar ten otrzymaliśmy.

„Rozrywki dla dzieci i młodzieży“.

A Wy, Czytelnicy, którą z naszych roślin uważacie za najpożyteczniejszą i dlaczego—napiszcie do nas o tem!

KONIEC WAKACYJ.

Hej wakacyj okres miły
Już dobiegnał swego końca,
Kiedy dzieci się bawiły
Tak swobodnie w blasku
[słońca.

Gdy nie wzywał do nauki
Żaden nakaz, żaden dzwo-
[nek,

Kiedy różne figle, sztuki
Można płać cały dzień.
Gdy nie trzeba wstawać
[rano,

Lecz, jeżeli przyjdzie wola,
Można z buzią roześmianą
Pędzić światem het na
[pola.

Lecz niech martwią się le-
[niuchy,
Że to wszystko się skoń-
[czyło.

Wiedzą dobrze dzieci—zu-
[chy,

Że i w szkole też jest miło.
Gdy w kolegów siadniesz
[gronie

W lekcje pilnie zaszuchany,
Ciekawością oko płonie,
Świat poznajesz ci nieznany.
I z radością myślisz czasem,
Dając przystęp milej dumie,
Że nie jesteś już głuptysem,
Co niczego nie rozumie.

A po pracy tak zabawy
Idą rażno i wesoło,
Że wołamy bez obawy:
Witaj szkoło!

HALINA KOPCIOWA.

T R E Ś Ć: Młocka, przez *Or-Ota*.—Legenda o bambusie, „Rozrywki“.
Koniec wakacyj, przez *Halinę Kopciową*.

Wydawca: W imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa
Szkół Powszechnych — JÓZEF WŁODARSKI.
Redaktorka: HELENA RADWANOWA.

TŁOČNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, W WARSZAWIE.